ZA KAŻDYM RAZEM SIĘ PODNOSZĘ!

Jako nastolatka straciła słuch i przeżyła załamanie psychiczne. Kiedy implant ślimakowy pomógł jej znowu słyszeć, ona pomogła sobie sama – pokonała poczucie bezsilności i trudności w relacjach z ludźmi. Odkryła w sobie pasję samotnych podróży i miłość do dalekiej Północy. „Im dalej na Północ, tym bliżej Wszechświata", mawia nasza pacjentka Kila (Kate) Zamana, podróżniczka, fotografka, wielbicielka wyścigów psich zaprzęgów.

Słyszę: Byłaś jedyną uczestniczką z Polski podczas wyprawy Fjällräven Polar 2015. Razem z grupą 20 osób z całego świata przedzierałaś się 300 km przez arktyczną tundrę z saniami i psim zaprzęgiem. Skąd pomysł na tak ekstremalną ekspedycję?

Kila Zamana: Dowiedziałam się o niej od maszerów, wśród których się obracam. Zostałam zakwalifikowana, mimo że wysłałam zgłoszenie w ostatniej chwili. Miłość do wyścigów psich zaprzęgów zawdzięczam tacie, który sam jest sportowcem (Cezary Zamana – mistrz polski w kolarstwie szosowym, zwycięzca Tour de Pologne w 2003 r., wyj. red.). Tata znał Andrzeja Wilczopolskiego, mistrza świata w tej dyscyplinie, i jako piętnastolatkę zabrał mnie na taki wyścig. Miał nadzieję, że spodoba mi się to i będę miała sportową pasję, która pomoże mi poradzić sobie z problemami emocjonalnymi. Trafił w dziesiątkę.

Pamiętam, że przed wyruszeniem na trasę Fjällräven Polar udzielaliśmy wywiadów dla szwedzkiej telewizji. Każdy miał opowiedzieć o sobie, o tym, co go przywiodło na tę wyprawę. Ja stwierdziłam: „Jestem tu po to, by pokonać swoje słabości!". I opowiedziałam o barierach, jakie zbudowałam w swojej głowie. Za największą uznałam lęk przed kontaktami z ludźmi. Jak się później okazało, podczas tej wyprawy po raz kolejny musiałam się z nim zmierzyć.

S.: Skąd w Tobie takie obawy przed relacjami z ludźmi?

K.Z.: Jako nastolatka nagle straciłam słuch. Nikt nie był w stanie mi powiedzieć, dlaczego. Nikt też nie potrafił skutecznie mi pomóc. Miałam stany depresyjne. Jak wiadomo, naście lat to trudny wiek. Czas układania się z sobą, skrajnej labilności emocjonalnej. Ja dodatkowo musiałam przepracować traumę, jaką była utrata słuchu. Zamknęłam się w sobie. Nie chciałam chodzić do szkoły. Nie wiedziałam, jak nawiązywać kontakty z rówieśnikami, więc celowo budowałam dystans. Nie rozumiałam tego, co do mnie mówią, ale też nie potrafiłam im wytłumaczyć, jak mają ze mną rozmawiać.

S.: Próbowałaś szukać wsparcia wśród osób niesłyszących?

K.Z.: Poznałam to środowisko, ale nie znalazłam tam swojego miejsca. Czułam, że się od nich różnię, że nie mamy wspólnego języka. Żyłam więc jakby w zawieszeniu, nie pasując nigdzie. Zaryzykowałam i wybrałam trudniejszą drogę – funkcjonowanie w środowisku ludzi słyszących.

S.: Implant ślimakowy coś zmienił, ułatwił?

K.Z.: Dzięki implantowi, który wszczepił mi prof. Skarżyński, zaczęłam znowu słyszeć na jedno ucho, ale to nie rozwiązało wszystkich problemów. Zresztą pierwsze wrażenia po podłączeniu procesora mowy nie były budujące – dźwięki były zupełnie inne, z echem. Nie potrafiłam tego zaakceptować. Najtrudniejsze jednak było zaakceptowanie nowej siebie. Musiałam się pożegnać z wcześniejszymi planami i marzeniami. Chociażby o zostaniu pilotem samolotowym. Długo też ukrywałam, że mam implant. Wstydziłam się go, traktując jak stygmat, widoczny dowód mojej niepełnosprawności. Z perspektywy czasu wiem, że to był błąd. Wtedy nie radziłam sobie jednak ze sobą pomimo wsparcia rodziców i psychologa.

S.: Było aż tak źle?

K.Z.: Doszło do tego, że nawet pójście na pocztę było ogromnym problemem. Zawaliłam też studia w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych. W tej szkole był typowy wyścig szczurów, presja na bycie najlepszym. Nie byłam do tego przygotowana psychicznie.

S.: Jak to możliwe, że bojąc się jakichkolwiek kontaktów z ludźmi, zdecydowałaś się po rzuceniu studiów na samotny wyjazd do Stanów Zjednoczonych?

K.Z.: To był rzeczywiście skok na głęboką wodę. Intuicyjnie jednak czułam, że muszę pomóc sobie sama. Na szczęście rodzice nigdy nie próbowali mnie hamować czy ograniczać. Miałam od nich zielone światło.

Wykorzystałam znajomości, jakie nawiązałam w internecie, publikując swoje grafiki. W wirtualnym świecie byłam wtedy już dość znaną artystką. Dziewczyna ze Stanów zaprosiła mnie do siebie. Niestety, miałyśmy ogromne problemy z komunikacją, mimo że znałam język angielski. Urodziłam się bowiem w USA i przez kilka lat mieszkałam tam z rodzicami. W implancie angielski brzmiał jednak zupełnie obco. Męczyłam się strasznie. Po powrocie do Polski stwierdziłam jednak, że to był fajny wyjazd. Trudny, ale ciekawy. Skonfrontował mnie z sytuacjami, w których musiałam poradzić sobie sama. W moim przypadku okazało się to skuteczniejsze niż terapia w zaciszu gabinetu psychologa.

Ten wyjazd dał początek nowej mnie – zaczęłam uczyć się wiary w siebie. Potem przyszły następne podróże. Jako grafik nawiązałam współpracę z firmą mającą siedzibę w Los Angeles. Wiązało się to z kolejnymi wyjazdami do Stanów, gdzie zwiedziłam m.in. Alaskę. Pojechałam też na szkolenie Bali Illustration Workshop w Indonezji. Podczas tych wojaży nauczyłam się „słyszeć po angielsku" i coraz swobodniej rozmawiałam w tym języku.

Myślę, że gdybym nie zaryzykowała tej pierwszej samotnej wyprawy, do dzisiaj tkwiłabym w kokonie strachu, nie przekraczając granic strefy komfortu. A dopiero po ich przekroczeniu naprawdę się rozwijamy!

S.: Wiem, że Fjällräven Polar to nie jedyna Twoja wyprawa na daleką Północ? Czy to właśnie potrzeba wykraczania poza strefę komfortu gna Cię w tak nieprzyjazne człowiekowi rejony?

K.Z.: Ciepła plaża, wygodne łóżko to może być fajne przez kilka dni. Potem robi się nudno (śmiech). Uwielbiam Północ, gdyż jestem typem outsidera, a Północ to świat niedostępny dla wielu ludzi i istot żywych. Wbrew pozorom jest tam bezpiecznie. Popatrz na tak przyjazny zdawałoby się świat ciepłej strefy klimatycznej – w Afryce więcej jest plag, chorób i głodu niż

na przykład wśród Inuitów zamieszkujących arktyczne obszary Grenlandii, Kanady czy Syberii. Na Południu jest – jak dla mnie – wszystkiego w nadmiarze. To świat kipiący roślinnością, przeludniony, chaotyczny. Północ jest ascetyczna, ale nie martwa. Mam nawet takie powiedzenie: „Im dalej na Północ, tym mniej ludzi, tym bliżej Wszechświata". To, w co bogate jest życie, potrafi nam bowiem przysłonić jego istotę. Eksplorując bezludne i nieprzyjazne tereny dalekiej Północy, najpełniej czuję… prawdziwe życie.

S.: Powiedziałaś, że podczas Fjällräven Polar po raz kolejny musiałaś się zmierzyć z lękiem przed kontaktami z ludźmi. Co takiego się wtedy wydarzyło?

K.Z.: Już na początku wyprawy rozpętała się potężna burza śnieżna. Ale to nie zamieć mnie przeraziła. Nie rozumiałam instruktora, który dawał nam wskazówki. Wszystko działo się bardzo szybko. Nie było czasu na dodatkowe tłumaczenie, pytania. Trzeba było natychmiast reagować. A ja nie wiedziałam, co mam robić! I nikt nie chciał mi pomóc. To był moment, w którym obudziły się demony przeszłości. Znowu poczułam się kompletnie samotna i bezradna, zdana na innych. Dziś rozumiem, że skonfrontowałam się – ale nie z ludźmi, tylko swoimi oczekiwaniami wobec nich. Ponieważ byliśmy niedoświadczeni i maksymalnie zestresowani, w sytuacji ekstremalnej skupiliśmy się na sobie. Łącznie ze mną. Tylko ja – z racji swoich słuchowych ograniczeń – oczekiwałam specjalnego traktowania. I dostałam kolejną cenną lekcję życia – lekcję wiedzy o człowieku, relacjach społecznych. Surowa Północ obnażyła kruchość „cywilizacyjnego uniformu", obdarła nas ze złudzeń na swój temat.

S.: Nie kusiło cię, żeby się poddać, wycofać z tej wyprawy?

K.Z.: Przez moment tak. Po incydencie podczas burzy poskarżyłam się nawet instruktorowi. Poradził mi, żebym zamiast myśleć o trudnościach, skupiła się na swoich mocnych stronach. Podpowiedział, że moim atutem jest znajomość natury psów i dobry kontakt z nimi. Zaczęłam więc pomagać innym uczestnikom przy czworonogach. Powoli budowaliśmy relacje – tym razem te prawdziwe, a nie te wyobrażone, zdefiniowane kulturowo.

S.: Na czym właściwie polega dobry kontakt z psami?

K.Z.: Prawdziwa pasja do zwierząt to nie tylko posiadanie ich, głaskanie, przytulanie i podziwianie piękna, ale fascynacja i tymi mniej przyjemnymi stronami, behawiorem. Nie wystarczy lubić psy, by mieć z nimi dobry kontakt. Trzeba je poznać i zrozumieć, ale z ich perspektywy, nie z naszej. Przekładanie ludzkiego sposobu widzenia świata, ludzkich uczuć na zwierzęta prowadzi często do nieporozumień. Przykładowo, człowiek śmieje się szeroko do psa, pokazuje zęby, patrzy mu w oczy. Dla nas to wyraz przyjaznych zamiarów, a dla niego może oznaczać ostrzeżenie albo groźbę. Zrozumieć naturę psów pomogły mi wilki. W wilczym stadzie obowiązuje silna hierarchia. Taka hierarchia jest też wśród półdzikich psów husky ciągnących zaprzęg.

S.: Znany polarnik Marek Kamiński napisał w jednej ze swoich książek: „Człowiek wyrusza w podróż tak naprawdę nie w tym celu, by odkryć świat, tylko by w świecie odnajdywać samego siebie". Co ci dała ta wyprawa oprócz możliwości poznania pięknych acz surowych krajobrazów Norwegii i szwedzkiej Laponii?

K.Z.: Dzięki podróżom, nie tylko tej, zaczęłam odkrywać, co tak naprawdę źle we mnie funkcjonuje. I nie chodziło wcale o słuch. Gdy porównuję siebie teraz z Kilą z przeszłości, czyli

tą przed podróżami, nie mogę uwierzyć, kim byłam! Uważałam się za osobę nieśmiałą i wycofaną, a okazało się, że jest zupełnie inaczej. Podróże ujawniły cechy, o które nawet się nie podejrzewałam!

Podczas Fjällräven Polar nauczyłam się, że wbrew popularnej opinii to nie sprawność fizyczna jest podczas takich wypraw decydująca. To przede wszystkim psychicznie trzeba być gotowym na wiele. Najważniejsza jest umiejętność szybkiej oceny sytuacji i podejmowania decyzji, kontrola nad sobą i emocjami. Z jednej strony trzeba być absolutnie niezależnym, z drugiej – współpracować z grupą. Podczas Fjällräven Polar bardziej zaufałam sobie. Na tyle, że przystałam nawet na propozycję instruktora, który chciał, abym poprowadziła pewien etap tej ekspedycji. Jechałam jako pierwsza, wytyczając drogę innym. To ogromna odpowiedzialność, ale dałam radę. Dzięki tej wyprawie zaczęłam też latać.

S.: Latać?

K.Z.: Tak. Gdy ją ukończyłam, stwierdziłam, że wszystko jest możliwe. Wróciłam do swoich marzeń o pilotażu. Jeden z dziennikarzy, który robił ze mną wywiad, okazał się pasjonatem latania. Namówił mnie na kurs paralotniowy. I znowu zaczęły się schody… czy raczej turbulencje, bo tym razem rzecz działa się w powietrzu (śmiech).

S.: Z czym tym razem musiałaś się zmierzyć?

K.Z.: Ze swoim słuchem i jego realnymi – niestety – ograniczeniami. Po kursie teoretycznym, który zaliczyłam bez problemu, przyszedł czas na praktykę. Miałam wzbić się w powietrze, a instruktor miał mi udzielać wskazówek przez specjalne radio. Problem w tym, że go nie rozumiałam. Szkoleniowiec stwierdził, że dopóki nie będzie miał ze mną swobodnego kontaktu w powietrzu, nie polecę. Zawzięłam się. Codziennie przez wiele godzin słuchałam radia, ucząc się jego charakterystycznego brzmienia. Gdy zaczęłam rozumieć większość poleceń, dostałam zgodę na start. Do egzaminu miałam jednak rozumieć 100 proc.

S.: Udało się?

K.Z.: Tak! Zauważyłam też, że paradoksalnie niedosłuch dał mi pewną przewagę nad innymi kursantami. Mając braki informacyjne, zaczęłam reagować bardziej instynktownie na to, co dzieje się w powietrzu. Byłam też maksymalnie skoncentrowana na tym, co robię, zwracając uwagę na każde słowo instruktora. To zaprocentowało. Egzamin zdałam z najlepszą lokatą! Teraz marzy mi się kurs szybowcowy.

S.: Mam wrażenie, że dla Ciebie nie ma rzeczy niemożliwych…

K.Z.: W każdym razie staram się je takimi czynić (śmiech). Utrata słuchu dała mi determinację w walce o marzenia. Może więc – wbrew pozorom – teraz mam większe szanse na zostanie pilotem niż wcześniej... Bo komfort potrafi człowieka rozleniwić.

S.: Pracujesz jako grafik komputerowy, fotograf, współpracujesz przy organizacji wyścigów psich zaprzęgów, nieustannie podróżujesz po świecie. Udaje Ci się znaleźć czas dla przyjaciół?

K.Z.: Mam ich niewielu. Uwielbiam ciekawych ludzi, z pasją i takich przede wszystkim wybieram na swoich przyjaciół. To ludzie, którzy nie boją się mojej inności, rozumieją moją nieco dziką naturę. Zresztą tymi, którzy mnie nie akceptują, przestałam się w końcu

przejmować. Zrozumiałam, że to ich problem, nie mój. Dla przyjaciół zawsze staram się znaleźć czas, zwłaszcza gdy chwilowo stacjonuję w domu, w Warszawie.

S.: Wszyscy prawdziwi podróżnicy twierdzą, że po powrocie do domu jedynie na krótko cieszy ich zwyczajne, codzienne życie. Potem przychodzi dziwny niepokój gnający ich znowu w świat…

K.Z.: Znam to uczucie. Dlatego nawet jeśli nie wyruszam w drogę, poświęcam czas na jej planowanie. Tym razem marzy mi się udział w elitarnym duńskim patrolu Sirius, który na psich zaprzęgach objeżdża Grenlandię. Przez wiele miesięcy żyją w ekstremalnych warunkach. Niestety, w patrolu mogą pracować tylko osoby z duńskim obywatelstwem. Nie mam więc szans na oficjalny angaż. Bariery formalne okazują się czasami najtrudniejsze do przeskoczenia. Pomyślałam jednak, że może da się to zorganizować inaczej. Nawiązałam kontakty z ludźmi z patrolu, zaprzyjaźniłam się. Powstał pomysł na ekspedycję polarną we współpracy z patrolem. Miałabym do pokonania 1500 km przez Grenlandię, a moim jedynym towarzystwem byłyby psy.

S.: Tym razem to nie relacje z ludźmi będą więc dla Ciebie największym wyzwaniem…

K.Z.: Samotność też nie! Najbardziej obawiam się po prostu, że tej wyprawy nigdy nie zrealizuję. Najtrudniejszy jest bowiem etap, na którym właśnie jestem, czyli przygotowania od zera do zapięcia ostatnich szczegółów. To są tysiące elementów, które trzeba dopasować jak puzzle. Pod uwagę muszę wziąć każdy szczegół przygotowania formalnego, fizycznego i mentalnego. Moim zdaniem z tym właśnie związane jest największe ryzyko niepowodzenia. Potem pójdzie już z wiatrem.

S.: Czasami ten wiatr wieje jednak prosto w oczy i każdy krok wymaga ogromnego wysiłku. Uważasz się za silną kobietę?

K.Z.: To zależy, co masz na myśli. Pod względem fizycznym jestem wytrzymała i silna. A psychicznie? Nie wiem, przeżywam przecież kryzysy, załamania. Za każdym razem jednak mam odwagę się podnieść i iść dalej. A może właśnie w tym tkwi siła człowieka? W przekuwaniu swoich słabości w wyzwania. Nawet jeśli to oznacza czasami bolesne przekraczanie granic własnych możliwości. •